

Przymus zwany solidarnością

20 maja 2020

Artykuł z 1996 roku.

Tym razem będzie o języku. Ale nie o projekcie karania 100000-złotowymi grzywnami właścicieli pubów, sex-shopów, body shopów, internet cafes i organizatorów disco parties (choć autorzy tego projektu, swoją drogą, są po prostu piżnięci w mózg (a co – po polsku było!)).

Oto w „Gazecie Wyborczej” z 1 października 1996 r. pan Tadeusz Kowalik w artykule „Biegun nierówności” stwierdził, że „w nowoczesnych gospodarkach rynkowych absolutnie niezbędna jest owa odrobina solidarności”, mając na myśli przymusowe zabieranie przez państwo części dóbr bogatym i dawanie ich biednym. Niezależnie od tego, czy uważa się to za sprawiedliwe, czy nie, nazywanie tego solidarnością jest jawną kpiną ze znaczenia tego słowa. O solidarności można mówić, jeśli ktoś dobrowolnie identyfikuje się z celami innych i działa na rzecz tych celów (np. strajki solidarnościowe). Gdyby jacyś bogaci Polacy dzielili się dobrowolnie z jakimiś swoimi biednymi rodakami poczuwając się do narodowych więzi, moglibyśmy mówić o (narodowej) solidarności. (Podobnie, jeśli ci biedni dobrowolnie rezygnowaliby z wszelkich roszczeń względem tych bogatych – solidarność A z B nie jest tym samym, co solidarność B z A!). Ale pan Kowalik (i polemizujący z nim pan Maleszka, który jednak w tej sprawie solidaryzował się (he, he) ze swoim adwersarzem, przestrzegając jedynie, by „nie wylać dziecka z kąpielą”) miał na myśli co innego: że absolutnie niezbędna jest odrobina PRZYMUSU.

Przymus jednak jest czymś mało szlachetnym, w przeciwieństwie do solidarności. Wypada zatem użyć szlachetniejszego słowa i zamaskować tym samym prawdziwą naturę tego, o czym się mówi. Oczywiście nie jest to wymysł pana Kowalika – nazywanie przymusu „solidarnością” jest od dawien dawna ulubionym

chwytem tych, którzy chcą na tym przymusie skorzystać. Rozbrajają tym samym swoich oponentów moralnie. To nie oni muszą teraz tłumaczyć się z tego, że chcą zmuszać innych – to tamci muszą tłumaczyć się z tego, że nie w smak im „solidarność”. Sprzeciwiasz się dajmy na to, by zabierano ci pod przymusem pieniądze i dawano jako dotacje rolnikom, sprzeciwiasz się cłom zaporowym na tańszą zagraniczną żywność – i już można ci wygarnąć, że jesteś obrzydliwym egoistą, który nie ma ochoty solidaryzować się z polskim chłopem. Oczywiście jasne i nie wymagające tłumaczenia jest, że cnotą jest (dla Polaka) solidaryzowanie się z chłopem polskim, a nie np. francuskim, niemieckim czy amerykańskim (ktoś, kto przyznałby się do takiej solidarności, naraziłby się nie tylko nacjonalistom, ale i lewicy, a nawet wielu liberałom), i oczywiście polskiemu chłopu (ani proponującemu taką „solidarność” politykowi) nie przynosi ujmy to, że nie zamierza on solidaryzować się Z TOBĄ i twoimi interesami.

Nazywanie pewnych rodzajów przymusu „solidarnością” tak utrwaliło się w potocznym języku i świadomości, że wielu ludzi nie zdaje sobie sprawy, że to, o czym mówią i myślą jako o solidarności, wcale tą solidarnością nie jest. Ciekawe, czy zdają sobie z tego sprawę publicyści „GW”?

Nie jest to jedyny przykład na maskowanie przymusu pod szlachetnym przebraniem i przemykanie w potocznie używanych zwrotach ideologii jego zwolenników. I tak na przykład mówi się o „ochronie rynku” danego kraju, mając na myśli przymusowe odgródkowanie potencjalnych konsumentów przebywających w jego granicach od towarów produkowanych poza tymi granicami (przy pomocy ceł, zakazów importu, specjalnych podatków akcyzowych, koncesji itp.). Jest to tak utarty zwrot, że termin „protekcjonizm” (z łac. „protegere” – osłaniać, chronić) przyjął się jako termin naukowy w ekonomii i naukach politycznych, i posługują się nim nawet zagorzali przeciwnicy takiej polityki. Tymczasem „ochrona rynku” jest ochroną tylko niektórych uczestników procesu rynkowego – producentów, i to

nie wszystkich! W stosunku do pozostałych uczestników rynku – konsumentów i reszty producentów – jest ona dokładnym przeciwieństwem ochrony, to znaczy AGRESJĄ. Wracając do przytoczonego wyżej przykładu – jeśli rząd wprowadza np. zaporowe cła na zagraniczną żywność (benzynę, samochody itd.), to chronione są przez to interesy polskich producentów żywności (benzyny, samochodów itd. – często są to zresztą w rzeczywistości producenci niepolscy, przynajmniej jeśli chodzi o kapitał, jak np. FIAT chroniony przed konkurencją tanich samochodów z m. in. Azji), gwałcone zaś interesy producentów zagranicznych oraz konsumentów, którzy muszą kupować drożej, a od czasu do czasu stają w obliczu braków (jak ostatnio z benzyną). Nazywanie „ochrony rynku” napaścią na rynek, a „protekcjonizmu” agresjonizmem byłoby co najmniej tak samo sensowne – jednak dziwnym (?) trafem funkcjonują tylko te pierwsze zwroty, ukazujące ten „przyjemniejszy” fragment prawdy i przedstawiające dobro jednej grupy interesu jako dobro wspólne.

Jeśli mowa o „przyjemniejszych” fragmentach prawdy (które NIE SĄ prawdą, jako że część czegoś to nie to coś), nie można zapomnieć o „państwie opiekuńczym”. Również i to sformułowanie na trwałe weszło do języka nie tylko potocznego, ale i naukowego, i również tu posługują się nim nawet zagorzali przeciwnicy polityki, którą oznacza. „Państwo opiekuńcze” to państwo, które funduje swoim obywatelom leczenie, naukę, emerytury, renty, zasiłki i wiele innych rzeczy – im więcej, tym bardziej „opiekuńcze”. „Opieka” rodzi pozytywne skojarzenia, nic więc dziwnego, że ktoś, kto występuje przeciw „opiekuńczemu” państwu traktowany jest najczęściej jak osobnik pragnący odebrać nam bogatego wujka z Ameryki przysyłającego nam regularnie grube pliki dolarów, albo pozbawić dziecko kochających rodziców. Któż normalny występowałby przeciwko opiece? Fakt, że WARUNKIEM KONIECZNYM tej „opieki” (w przeciwieństwie do opieki dobrowolnie oferowanej przez osoby prywatne czy ich grupy) jest przymusowe zabranie w podatkach, cłach, obowiązkowych ubezpieczeniach i inflacji pieniędzy tym

wszystkim, którzy są nią objęci (tym więcej, im „troskliwsza” jest ta „opieka”), jest w języku ukrywany – nie mówi się o „państwie grabieżczym” ani nawet „grabieżczo-opiekuńczym”. „Opieka” państwa nad obywatelami ma więcej wspólnego z „opieką” alfonsa nad prostytutką niż z powiedzmy opieką siostry PCK nad chorym staruszką. Przyznajcie się jednak – które z tych skojarzeń jest Wam bliższe, gdy słyszycie słowo „opiekuńczy”?

Gdy przychodzi do rozważań historycznych, przeciwieństwem „państwa opiekuńczego” jest „dziki kapitalizm”. Sformułowanie to zasługuje na szczególną uwagę. Ponieważ słowo „dziki” ma dla większości ludzi wydźwięk negatywny (wyjątkiem może być garstka zagorzałych ekologów-prymitywistów), automatycznie przemycana jest w tym zwrocie sugestia, że pewien rodzaj kapitalizmu, który jest przezeń opisywany, jest zły i niegodny cywilizowanego (nie-dzikiego) człowieka. Nie jest to oczywiście oświecony kapitalizm współczesnego świata ucywilizowany przez opiekuńcze państwo, lecz kapitalizm z poprzedniego wieku, gdy takiego państwa jeszcze nie było. Wniosek jest prosty – czynnikiem cywilizującym i dobroczynnym w kapitalizmie jest owo państwo. Gdyby nie ono, żylibyśmy w dżungli. Kto zatem występuje przeciwko interwencjonizmowi państwa w gospodarkę, jest orędownikiem barbarzyństwa, wsteczniakiem pragnącym cofnąć nas znów do czasów, gdy panowało brutalne prawo silniejszego i bezwzględna walka na kły i pazury, gdzie wszystkie chwytły były dozwolone. I tu następna sugestia: teraz takich czasów nie ma!

(Na marginesie: nikt nie mówi o dzikim socjalizmie, choć z pewnością socjalizm w wydaniu Lenina, Stalina, Mao czy Pol Pota był o wiele bardziej barbarzyński i okrutny niż najbardziej bezwzględny kapitalizm).

Te parę przykładów pokazuje, jak język, z którym się stykamy i którym się często sami posługujemy przesiąknięty jest etatystyczną ideologią. Nawet krytycy tej ideologii polemizują z nią na jej polu.

Nie jest łatwo wyplenić z języka ideologiczne zwroty i ideologiczne używanie słów. (Można jednak próbować). Zwracajmy jednak uwagę na to, czy to, co słyszymy lub wypowiadamy nie jest kryptopropagandą wroga.

Autorstwo: Jacek Sierpiński

Źródło: Libertarianizm.pl